

z.488885

Zofia Niedziałkowska

Moja wycieczka w przeszłość



1904–2004

225037

Z. 488885

Xas-12-05

Zofia Niedziałkowska

Moja wycieczka w przeszłość

1904–2004

Ło 926/2005

10-00

Redakcja:
Dorota Korkozowicz
Czesław Parzych

Korekta:
Tomasz Kania

Wydano przy wsparciu finansowym
Urzędu Miejskiego w Ostrołęce

ISBN 83-88169-32-7



Z. 488885

75. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe im. Adama Chętnika

Nakład 300 egzemplarzy

Ostrołęka, listopad 2004

Od wydawcy

W listopadzie 2004 roku przypada setna rocznica urodzin Zofii Niedziałkowskiej, niestrudzonej badaczki dziejów Ostrołęki i Kurpiowszczyzny, autorki monografii swego rodzinnego miasta, honorowej obywatelki Ostrołęki.

Zainteresowania Zofii Niedziałkowskiej skupiały się przede wszystkim na historii miasta, które ukochała. Do końca swych dni żyła jego problemami, cieszyła się z osiągnięć. Lubiła spotykać się z mieszkańcami Ostrołęki. Z jej osobistych zapisków wynika, że odbyła w mieście i na Kurpiowszczyźnie ponad 50 spotkań autorskich, najwięcej w bibliotekach i szkołach. Z ogromną żarliwością zabierała głos na sesjach popularnonaukowych, szczególnie tych, które dotyczyły dziejów Ostrołęki. Bliskie związki łączyły Panią Zofię z Towarzystwem Przyjaciół Ostrołęki i ta serdeczna, wzajemna przyjaźń trwała do ostatnich dni Jej życia.

Mieszkańcy miasta i regionu, władze miejskie i szczebla wyższego darzyły Panią Zofię coraz większą życzliwością i sympatią. Była z tego powodu bardzo szczęśliwa, bo przecież był czas, kiedy czuła, że Ostrołęka nie wykazywała zainteresowania pracą swojej rodaczki. Toteż z ogromną satysfakcją przyjmowała w 1973 roku godność „Honorowego Obywatela Ostrołęki” i z wielką radością uczestniczyła w zorganizowanych spotkaniach z okazji 80-lecia Jej urodzin czy z racji 55-lecia pracy naukowej. Wówczas wyznała publicznie, że historia Ostrołęki jest Jej pasją. Gdy była chora i nie mogła przyjeżdżać do rodzinnego miasta, to w Jej sercu i świadomości było ono zawsze obecne.

Dziś rozumiemy, o ile bylibyśmy duchowo biedniejsi bez Jej prac i że dzięki Niej możemy poznawać dzieje Ostrołęki i Kurpiowszczyzny.

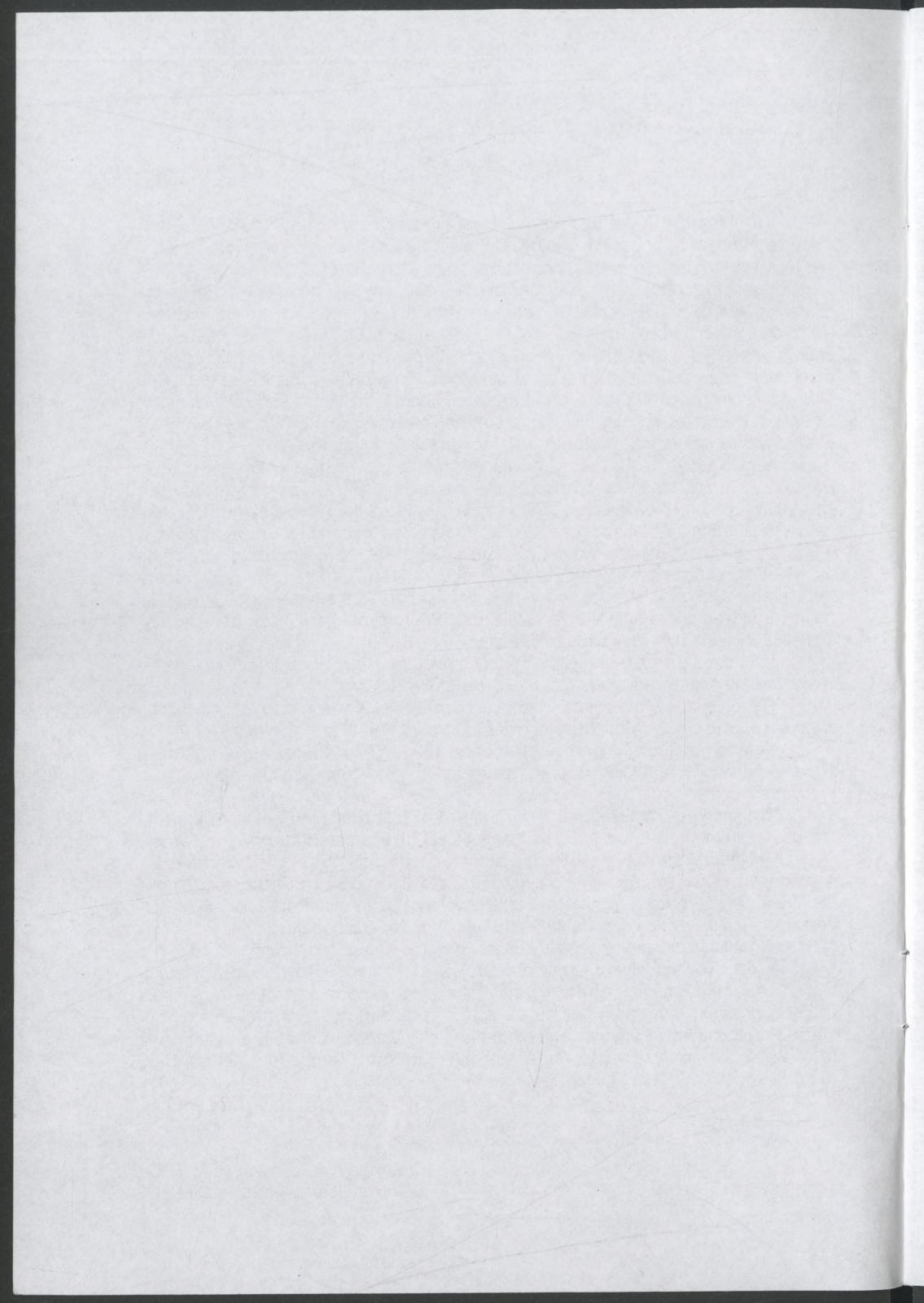
Ostatnie lata życia spędziła Zofia Niedziałkowska w Warszawie, pod troskliwą opieką swej siostry Marii oraz jej dzieci: Doroty i Andrzeja.

Zmarła po długiej chorobie 2 listopada 1991 roku w warszawskim szpitalu i zgodnie ze swą wolą spoczywa, wraz z rodzicami, na ostrołęckim cmentarzu parafialnym.

Pragniemy przechowywać żywą pamięć o Zofii Niedziałkowskiej. niespełna rok po Jej śmierci odsłonięta została pamiątkowa tablica przed budynkiem Zespołu Kolegiów Nauczycielskich, poświęcona autorce monografii Ostrołęki. Zofia Niedziałkowska jako pierwsza została uhonorowana Złotą Odznaką „Za Zasługi dla Miasta Ostrołęki”. Znany nasz regionalista, Stanisław Pajka, poświęcił Pani Zofii swoją pracę, ukazującą Jej życie i dokonania. W 10. rocznicę śmierci nadane zostało imię Zofii Niedziałkowskiej najpiękniejszej auli Zespołu Kolegiów Nauczycielskich.

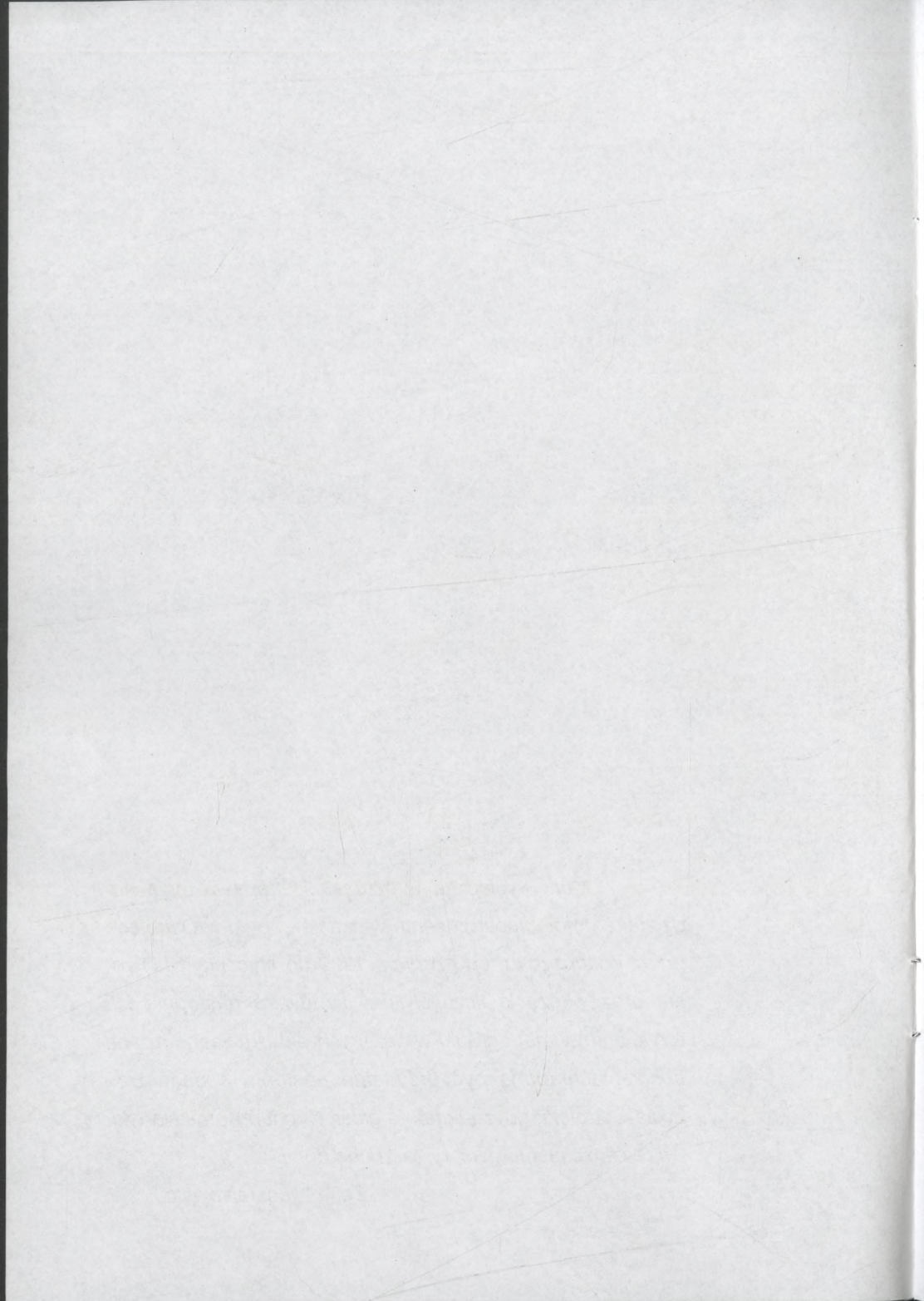
A dziś Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki i Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe im. Adama Chętnika, których Pani Zofia była współzałożycielką, organizują sesję wspomnieniową, poświęconą długiemu i pracowitemu życiu tej pięknej postaci. Przekazujemy Państwu autobiografię Zofii Niedziałkowskiej, zatytułowaną *Moja wycieczka w przeszłość*, która obejmuje lata od 9 listopada 1904 do 1986 roku.

Jadwiga Nowicka – prezes TPO
Janusz Gołota – prezes OTN



Moja wycieczka w przeszłość napawa mnie nadzieją, że moje spostrzeżenia w czasie pobytu w Ostrołęce przez półtora roku, od czerwca 1929 do stycznia 1931 roku, oraz w czasie licznych przyjazdów, a następnie ich utrwalanie w monografii i w drobnych publikacjach oraz na spotkaniach mogą być przydatne następnym badaczom życia Ostrołęki, gdyż tak jak to głosił Cyprian Kamil Norwid, „Przeszłość jest to dziś, tylko trochę dalej”.

Zofia Niedziałkowska



Urodziłam się w listopadzie 1904 roku w Ostrołęce, w rodzinie inteligencji urzędniczej, w domu Władysława Choynowskiego przy ul. Studziennej (dziś Wiktor-Gomulickiego). Na chrzcie świętym nadano mi imiona Zofia Stanisława.

Ojciec Henryk Wacław, urodzony 15 września 1862 roku w folwarczku Rażny (dzierżawionym przez dziadka Apolinarego, męża Karoliny z Wasiłowskich – rodzonej siostry Józefa Wasiłowskiego, ojca Marii Konopnickiej), był urzędnikiem w Towarzystwie Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia. Matka Stefania Aniela ze Żbikowskich, urodzona w 1873 roku w Dylewie na Kurpiach (córka Walerego, urodzonego w 1832 roku sędziego kadziłańskiego – dzierżawcy folwarku Dylewo, zesłańca po 1863 – i Anieli ze Szlubowskich).

Mam dwoje rodzeństwa: starszego brata Henryka Mariana (ur. 21.11.1898 roku) i młodszą siostrę Marię Wandę (ur. 9.11.1905 roku).

Z bardzo przykrych opowiadań przekazywanych nam przez matkę, zawsze wówczas nerwową i pobudliwą, pamiętam opowieść o utracie wzroku przez brata Henryka, gdy miał 3 czy 4 lata, co wiązano z zatarciem oczu sokiem jakiegoś złośliwego żółtego kwiatka, zerwanego na łące w czasie spaceru z niańką. Mimo leczenia przez kilka tygodni brat nie widział i obawiano się stałego kalectwa. Po pewnym czasie zupełnie niespodziewanie wzrok odzyskał i do późnej jesieni życia nie odczuwał przykrych dolegliwości ocznych. Niemniej przeżycie to było najpewniej jedną z przyczyn ogromnej nerwowości matki. Jak wiem z późniejszych jej opowiadań – i nie tylko jej – rok 1905, gdy w związku z rewolucją w Rosji zelżał ucisk carski, upamiętnił się w naszej rodzinie oddechem odrobiny wolności, ale także utratą przez ojca posady, jako skutkiem jego udziału w organizowaniu akcji strajkowej i manifestacji patriotycznej.

Dom rodziców prowadzony był oszczędnie i utrzymywany na średnim poziomie. O podnoszenie jego standardu zabiegała matka. Oboje z ojcem dbali o utrzymywanie życia towarzyskiego z dość licznymi, oczywiście polskimi, rodzinami urzędniczymi. Wciąż jednak największą troską było zdrowie i opieka nad dziećmi.

W 1909 czy 1910 roku rodzice, przy poważnej pomocy finansowej rodziny matki, nabyli od wyższego oficera rosyjskiego, stacjonującego w Wojciechowicach i przeniesionego do innej miejscowości, nowo wybudowany, lecz jeszcze nie zamieszkaný duży piękny piętrowy dom dębowo-murowany (dwie ściany dębowe – frontowa i przeciwległa, dwie szczytowe – murowane) o wyglądzie dworu, stojący na peryferiach miasta na żółtym piasku, naprzeciwko ogrodu miejskiego. Po wprowadzeniu się doń ojciec zagospodarował jego otoczenie, uzupełnił budynki gospodarcze, założył ogródek przed frontem i sad owocowy. Dom, zbudowany na wysokiej kamiennej podmurówce, miał na parterze dwa duże, kilkupokojowe mieszkania, a na piętrze też duże mieszkanie pięciopokojowe – zajęli je rodzice. Po całkowitym wykończeniu robót, chyba na przełomie 1912 i 1913, przez krótki czas parter zajmowali pp. Doberscy, właściciele ziemscy, którzy spieniężywszy swój majątek przenosili się w inne miejsce, a na górze, w części naszego mieszkania, ulokowano matkę pani Doberskiej, hrabinę Mączyńską.

Późną wiosną 1913 r. cały parter został wynajęty na pomieszczenie nowo organizującego się polskiego gimnazjum przez przybyłego z Łęczycy młodego nauczyciela – w Ostrołęce dyrektora – Dionizego Majewskiego, oraz na jego

mieszkanie. Od września cieszyliśmy się wszyscy widokiem chłopców ciągnących do szkoły w nowych uczniowskich mundurkach.

Wychowaniem dzieci zajmowała się matka, później uczyły nas nauczycielki. Pamiętam p. Marię Świecińską (później żonę dyrektora szpitala, doktora Ignacego Wójcickiego).

W 1910 r. brat, po zdaniu egzaminu, został przyjęty do I klasy rosyjskiego gimnazjum męskiego w Pułtusk, gdyż wówczas w Ostrołęce nie było żadnej szkoły średniej (w 1911 r. otwarto rosyjskie progimnazjum żeńskie, a dopiero w 1913 r. powstało już wspomniane prywatne polskie progimnazjum męskie zorganizowane przez Dionizego Majewskiego).

Spokojne życie w spokojnym miasteczku 1 sierpnia 1914 r. przerwała wiadomość o wybuchu I wojny światowej. Z racji położenia Ostrołęki w pobliżu granicy z Prusami Wschodnimi (ponad 40 km) i atakowaniu jej przez wojska niemieckie, w mieście do którego napływały masy chłopów i Żydów ze wsi Kurpiowskich, zapanał chaos, strach i panika – gwałtowne przygotowywanie się do opuszczania go (w tym celu ojciec kupił dwa konie i bryczkę). Jesienią, gdy ofensywa niemiecka się zatrzymała, nastąpiło uspokojenie i powrót do niemal normalnego życia. Brat wyjechał do gimnazjum w Pułtusk, ja chodziłam na lekcje do Marii Nadany (podobno najlepszej uczennicy w progimnazjum), która miała przygotować mnie do I klasy progimnazjum ostrołęckiego, „podkształcała” też moją siostrę.

Przed wakacjami szkolnymi w 1915 r. złożyłam egzamin do progimnazjum, ale do niego nie chodziłam. Gdy w wyniku działań wojennych front niemiecko-rosyjski zbliżał się do Narwi, 19 lipca ogłoszono ogólną ewakuację miasta – ojciec mój wraz z rodziną został ewakuowany do Rosji. Wówczas Ostrołękę musieli opuścić wszyscy mieszkańcy, po czym miasto zostało podpalone przez ustępujące wojsko rosyjskie.

Po długiej i uciążliwej podróży dotarliśmy do Saratowa nad Wołgą, miasta dużego, mocno zniemczonego, posiadającego dobrze rozbudowany przemysł oraz wiele szkół średnich, a także uniwersytet i inne wyższe uczelnie. Zastaliśmy tu przybyłych już wcześniej krewnych i znajomych (dwie siostry matki, szwagra oraz doktorostwo Stanisławę i Józefa Zubowiczów) – było pewne oparcie.

Zamieszkaliśmy na uboczu, w małym domku. Ojciec dostał pracę urzędniczą, brat został przyjęty do szóstej klasy gimnazjum ewakuowanego z Piotrkowa, ja jeszcze na jesieni zostałam uczennicą Maryjskiego Gimnazjum, w którym uczyłam się trzy lata szkolne (1915/16, 1916/17, 1917/18). Nie było mi łatwo, pracowałam dużo, ale osiągałam niezłe wyniki. Czułam się obco, lecz muszę przyznać, że otoczenie było dla mnie życzliwe, dobrotliwie poprawiano niewłaściwy akcent i darowywano inne niedociągnięcia językowe.

Nazwisk koleżanek Rosjanek nie pamiętam, natomiast zapamiętałam imiona i nazwiska dwóch koleżanek Polek: siostr Bożeny i Krystyny Żołądkowskich, dziewczynke dobrze wychowanych, inteligentnych, myślących, tak jak ja, o powrocie do kraju.

Do dziś pamiętam wiersz, jaki jedna z nich wpisała do mojego albumika:

„Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy wierszyk powie wiersze Zosi,
Każda gwiazdeczka piosenkę zanuci.”

(Juliusz Słowacki)

Koleżanki Rosjanki też wpisywały się serdecznie do mojego „sztambucha” i jeden z takich wierszy do dziś pamiętam.

Siostra moja, Maria, przyjęta do otwartego chyba na początku 1916 r. gimnazjum polskiego, czuła się znacznie swobodniej i uczyła się bardzo dobrze, miała więcej zaprzyjaźnionych koleżanek. Brat miał wielu kolegów i był zaabsorbowany „swoimi sprawami”, uczył się niewiele, a osiągał dobre wyniki.

Najbardziej z domem związana była matka, która wykonywała wszystkie czynności gospodarskie. Nie żałując trudu, lubiła gościć znajomych, zwłaszcza w Wigilię i Święta Wielkanocne. Bezpośrednio po jednym z takich przyjęć, odbytym w Wigilię Bożego Narodzenia 1916 r., spotkało nas nieszczęście: bardzo poważne skaleczenie lewej ręki matki stłuczonym wówczas półmiskiem. Skorupa przecięła żyły i nerwy. Mimo natychmiastowej pomocy udzielonej przez córkę i syna gospodarzy – medyków – nastąpił wielki upływ krwi. Po przewiezieniu do szpitala matka nie chciała się zgodzić na operację, i gdy mimo jej oporu przeprowadzono ją następnego dnia, było już zbyt późno, aby dała pozytywny skutek. Mimo stosowania masażu matka do końca życia swobodnie lewą dłońią nie władała, a niestety, zmuszona była wykonywać wszystkie prace w coraz trudniejszych warunkach.

W Saratowie przeżyliśmy wybuch rewolucji 1917 r. – upadek caratu, a potem, po październiku, dni nader burzliwe i krwawe. W czasie walk „czerwonych” z „białymi” oficerami, a potem publicznego wieszania tych ostatnich, ograniczaliśmy wychodzenie z domu, ale mimo to ojciec, brat, a nawet i siostra wymykali się.

Ogólnie biorąc, do rewolucji żyliśmy skromnie, ale nie głodowaliśmy, później bywało różnie.

Gdy rozeszła się wieść o możliwości powrotu do kraju, ojciec natychmiast zgłosił i naszą rodzinę, zaczęły się przygotowania do podróży, przede wszystkim kupowanie i przygotowywanie żywności: pamiętam worki sucharów na drogę.

W końcu roku szkolnego przed wakacjami w 1919 r. brat uzyskał świadectwo maturalne, oczywiście rosyjskie, a my z siostrą przeszliśmy do następnych klas. W pierwszych dniach lipca wyruszyliśmy w podróż pociągiem towarowym, tzw. „ciepluszką”. W każdym wagonie po kilkanaście rodzin. Każda z nich miała „swoją kącik” z legowiskiem i kuchnią – stołkiem z prymusem i wiadrem. Podróż nasza przebiegała niemal identycznie jak opisany przez Żeromskiego w *Przedwiośniu* powrót Cezarego Baryki i jego ojca. W trwającej prawie sześć tygodni podróży wielokrotnie pociąg zatrzymywał się w polu, z bliżej nieznanych przyczyn, na wiele godzin, wówczas gotowano strawę na prymusach na świeżym powietrzu – w pamięci utkwiła mi wciąż gotowana kartoflanka zarzucana kluskami.

W czasie podróży przeżyliśmy nowe zmartwienie, siostra zachorowała na tzw. hiszpankę, która panowała w 1918 r. w całej Europie. Temperatura wskazywała powyżej 39 stopni, trzeba było to ukrywać, zwłaszcza przed konwojentami, gdyż groziło pozostawienie chorej na najbliższym postoju. Szczęśliwie sąsiedzi nie wydali, nikt się nie zaraził, choroba minęła – dojechaliśmy do Warszawy.

Po parodniowym pobycie u krewnych, ojciec wynajął mieszkanie, zaczął dorywczo pracować. Brat został przyjęty na politechnikę, ja z siostrą rozpoczęliśmy naukę w gimnazjum w następnych klasach. W szkole, chociaż odczuwałam braki normalnego polskiego przygotowania, nie było mi źle (trzy lata w rosyjskim gimnazjum).

Tu, w Warszawie, przeżyłam niezapomniany dzień – 11 listopada, dzień odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli! Nie do opisania entuzjazm tłumów – łyż radości, uściski stojących obok siebie ludzi, zupełnie ob-

cych, powtarzające się okrzyki: „Wolność”, „Niech żyje Piłsudski”. Wiwatowano na cześć Wolnej Odrodzonej Polski.

Jeszcze w listopadzie 1918 r. wróciliśmy do Ostrołęki, do swego domu – szczęśliwie ocalał. Brat, który przed 11 listopada wstąpił jako ochotnik do formującego się Wojska Polskiego, pozostał w nim.

Ostrołęka przedstawiała wówczas dramatyczny widok – była miastem-rumowiskiem, zwłaszcza w centralnej dzielnicy (ogółem ponad 80 proc. zniszczonej zabudowy). Jednocześnie od pierwszych dni odzyskania niepodległości była miastem wyęžonej pracy, powracającej do swych siedzib ludności, wykorzystującej wszystkie możliwości, aby odbudować swoje domy i warsztaty pracy.

Nasz dom wymagał gruntownego remontu, ale stał – znaleźliśmy w nim oparcie (w czasie okupacji był zajęty przez Niemców na urząd pocztowy, który wkrótce przeniesiono do dawnego domu poczty, stojącego przy Rynku).

Ojciec zaczął pracować, ale to co zarabiał, przy wielkiej oszczędności ledwie wystarczało na utrzymanie czterech osób. Dodatkowym obciążeniem były wydatki na naszą edukację – obie z siostrą, aby nie stracić roku, brałyśmy lekcje u p. Marii Laubitz (później z męża Grąbczewskiej), dobrej, sumiennej nauczycielki przerabiającej z nami kurs wszystkich przedmiotów.

Ze względu na konieczność kontynuowania przez nas nauki, rodzice w połowie 1919 r. wynajęli swój dom na otwarte wówczas 8-klasowe Gimnazjum Państwowe (męskie) i przenieśli się do Łomży, gdyż w zorganizowanym w tym czasie w Ostrołęce Gimnazjum Żeńskim Towarzystwa Szkoły Średniej Polskiej Macierzy Szkolnej otwarto tylko niższe klasy. W wyniku egzaminu zostałam przyjęta do V klasy (siostra do IV) 8-klasowego Gimnazjum Państwowego im. Marii Konopnickiej.

W Łomży żyliśmy w bardzo trudnych warunkach. Wprawdzie ojciec szybko otrzymał posadę urzędniczą, ale z niewielkimi poborami. Mieszkaliśmy w pobliżu Narwi, w małym mieszkanku drewnianego domku, bez kanalizacji i oświetlenia elektrycznego, w dodatku z ciemną kuchnią. Niezyciwa gospodyni dokuczała nam wszystkim, na czym szczególnie cierpiała matka, przebywająca cały czas w domu. Lekcje odrabialiśmy przy wspólnym stole, przy karbidowej lub małej naftowej lampce, a zdarzało się, że i przy kaganku oliwnym. Noce były „urozmaicone” moim niemal nieustannym kaszlem. Mimo to siostra przeszła z V do VI klasy z najlepszym świadectwem, a i ja też otrzymałam zupełnie dobrą promocję do klasy VII. Obie byłyśmy harcerkami – dawało to nam dużo satysfakcji i przyjemności – byłam sekretarką hufca; w lecie przebywałyśmy na obozie harcerskim w Morgownikach (w lesie naprzeciwko Nowogrodu). Życie obozowe było i pożyteczne, i przyjemne. W końcu roku szkolnego 1919/20 dzięki wielkiemu finansowemu wysiłkowi rodziców, wzięliśmy udział w wycieczce szkolnej do Zakopanego. Piękno gór i wypady nad Morskie Oko czy w pobliskie dolinki zauroczyły nas.

W Łomży, podczas wakacji 1920 r. przeżyliśmy wojnę polsko-radziecką – ogólny zryw społeczeństwa polskiego w obronie niepodległości. Wśród tych, którzy zgłosili się do wojska, była duża liczba kolegów, a wśród starszych koleżanek nie brakowało takich, które nosiły im do okopów żywność i papierosy. My właściwie nie angażowałyśmy się – małe i dość słabe. Przy tym rodzina korzystająca ze schronienia w mieszkaniu wuja (wydawało się dużo bezpieczniejszym od naszego).

Czas ten był dla nas szczególnie ciężki. Wprawdzie podczas wojny polsko-radzieckiej nie straciliśmy nikogo z najbliższych, ale oprócz przeżyć związanych z dzia-

łaniami wojennymi, w wyniku zamętu, jaki zaistniał, straciliśmy wszystko to, co udało się ocalić w czasie wojny, tj. trochę biżuterii matki naszej, oszczędzanej na czarną godzinę. Nie ominęły nas też i inne kłopoty. Jedyną radością w ciągu kilku burzliwych miesięcy były kartki nadsyłane przez brata z miejsca postoju – znak, że żyje.

Po szczęśliwie zakończonej wojnie odetchnęliśmy „zwycięsko” i powróciliśmy do normalnych obowiązków. Rodzice jednak nie mogli dojść do równowagi – załamał się i postanowili wrócić do Ostrołęki. Ojciec wrócił tam wcześniej, matka w lecie 1922 r. Ja z siostrą zostałam na stacji. W czerwcu, gdy była szkolna wycieczka nad morze, obie zachorowałyśmy na odrę, którą siostra przechorowała szczególnie ciężko – trudno było przeboleć „spalenie się” wycieczki i zobaczenia morza.

A oto obraz szkoły w Łomży, w której uczyłam się cztery lata (1919–1923). Gmach gimnazjum jednopiętrowy, obszerny, położony na wzgórzu, w dużym ogrodzie przy najatrakcyjniejszym placu miasta, robił przyjemne wrażenie. Wewnątrz sale lekcyjne widne, korytarze przestronne. Od 1919 do 1921 r. gimnazjum kierowała „Pani Przełożona” – Wacława Peretiatkiewiczowa, niegdyś przełożona polskiej pensji w Kijowie. W czasie dużej przerwy ukazywała się na korytarzu, sprawdzając zachowanie się uczennic, ich „dygi” i „reweranse”. Nauczyciele, poza nielicznymi wyjątkami, nie byli najwyższego lotu. Niektórzy znali swój przedmiot, ale nie mieli wykształcenia pedagogicznego, a byli i tacy, którzy nauczycielami zostali z przypadku. Jak wiadomo, w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości w centrum Polski (ówczesny zabór rosyjski – Królestwo Kongresowe) było bardzo niewiele ludzi z wykształceniem wyższym i jednocześnie pedagogicznym. Takim przypadkowym nauczycielem był m.in. w naszym gimnazjum profesor Krawczyński, były śpiewak operowy w Wiedniu, który po uszkodzeniu w czasie wojny strun głosowych, dobrze znając język niemiecki, uczył tego przedmiotu.

Od początku roku szkolnego 1921/1922 nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika zakładu. Dyrektorem został Michał Sokorski (ojciec Włodzimierza), który zaostrzył wymagania i w stosunku do nauczycieli, i do uczennic. Zapanował rygor. Już przed ósmą dyrektor stał na korytarzu, a spóźniające się uczennice witał z zegarkiem w ręku. Jego bystre oczy widziały wszelkie niedociągnięcia. Zmienił częściowo personel nauczycielski – o ile ustępującego miał kim zastąpić.

Matura przeprowadzona na wiosnę 1922 r. była bardzo surowa, odpadło chyba prawie 50 proc. byłych uczennic. Selekcja do klasy VIII była ogromna – z klasy VIIb, do której chodziłam, dostały się doń zaledwie cztery uczennice. Z uczennic pozostałych w klasie VIII oraz naszej VIIa utworzono jedną klasę liczącą powyżej 30 osób.

Języka polskiego uczył dyrektor, był bardzo dobrym polonistą. Nauczycielem matematyki został profesor gimnazjum męskiego, Marian Kędzierski, znawca przedmiotu, wykladał jasno, wymagał dużo, oceniał surowo, chciał nauczyć, do uczennic odnosił się życzliwie, bez złośliwości i uprzedzeń. Ogólnie było nam ciężko, a mnie szczególnie, gdyż wpadłam w konflikt z innym nauczycielem, fizyki, panem Władysławem Chrzanowskim, człowiekiem bardzo zarozumiałym, ograniczonym i mściwym. Odtąd pracowałam dużo nad fizyką i przeżywałam każdą lekcję, w związku z czym zaniedbywałam trochę inne przedmioty. Egzamin maturalny przyniósł mi niespodziankę – właśnie z fizyki zdałam bardzo dobrze.

Stosunki koleżeńskie, zarówno w klasach, jak i w harcerstwie, były bardzo serdeczne. Wiele z naszych koleżanek już nie żyje, ale żyjącymi ja i moja siostra Maria interesujemy się, a niektóre z nich są naszymi najlepszymi przyjaciółkami.

Ze względu na warunki, w jakich mieszkalam z rodzicami, nie miałam możliwości przyjęcia jednocześnie nawet paru osób, zresztą przyjaźniłam się z koleżankami żyjącymi w jeszcze trudniejszych warunkach (Ireną Kaliszówną, później z męża Bonikową, i Ireną Stańską). Na częste spacerzy nie miałam czasu. Najmilszą moją rozrywkę stanowiły wieczorki koleżeńskie, urządzane w domu rodziców mojej dotychczas jeszcze najserdeczniejszej przyjaciółki Nili (Leonildy Kiersnowskiej, a później z męża Wyszomirskiej). Tu, przy bardzo dyskretniej opiece jej rodziców, ludzi wysoce kulturalnych – on leśnik, ona nauczycielka matematyki, oboje z wyższym wykształceniem – bawiła się gromadka ich dzieci (trzy córki, a czasami i syn) i grupa zaproszonej młodzieży.

W czerwcu 1923 r. ze świadectwem dojrzałości przyjechałam do rodziców, którzy nie mogąc zamieszkać we własnym domu, wciąż zajętym przez gimnazjum, zamieszkali znowu w małym, ciemnym, bardzo zawilgoconym mieszkanku. Pobory ojca były małe, dom z racji katastrofalnej dewaluacji pieniądza nie dawał żadnych dochodów (podobno w 1923 r. za ustalone niegdyś komorne roczne za cały dom można było kupić paczkę czy nawet tylko pudełko zapalek).

Mimo tak ciężkich warunków życiowych, marzeniem matki, zgodnym z moim skrytym życzeniem, było wysłanie mnie na studia, o czym na razie nie mogło być mowy. Tak więc w ciągu roku szkolnego 1923/1924 mieszkalam w jednym pokoju z trzema dziewczynkami przyjętymi na stancję i dawałam korepetycje, aby zarobić na wyekwipowanie się. Pracowałam w harcerstwie, byłam drużynową dwóch drużyn. Tymczasem siostra w 1924 r. dostała maturę i też przyjechała do rodziców. Był dylemat – co robić? Obie wyjechałyśmy do Warszawy.

W październiku 1924 r. zostałyśmy przyjęte na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego. Zaraz udało się nam dostać miejsca na 20-osobowej sali w „Domu Akademickim” w dawnych koszarach Blocha. Umeblowanie: łóżko, stół na dwie osoby, stółek, warunki sanitarne nader surowe, ale i to w ówczesnej sytuacji uważano za los szczęścia. W tych warunkach uczyłyśmy się głównie w czytelni uniwersyteckiej. Przewidziane kolokwia zdawałyśmy w terminie.

Chyba w 1926 r., po wybudowaniu „Domu Akademickiego” przy ul. Górnośląskiej specjalnie dla młodzieży studenckiej żeńskiej, otrzymałyśmy miejsca w trzyosobowym, a następnie w dwuosobowym pokoju – było to pomieszczenie luksusowe – spory umeblowany pokój z przedpokoikiem, oddzielną umywalnią i szafami w ścianie. Kuchnie i łazienki były wspólne, z wejściem z korytarzy.

Opłaty były niewielkie, ale i tak trudne do uiszczania przez rodziców, więc pomagał nam brat, już wówczas porucznik. Matka przywoziła i przysyłała trochę żywności.

Egzaminy składałyśmy z wynikiem dobrym lub bardzo dobrym. Studia odbyłyśmy w trybie normalnym, zakończyłyśmy je w 1929 r. uzyskaniem tytułu magistra filozofii w zakresie historii.

Nasi profesorowie... Na przykład Marceli Handelsman, z pochodzenia Żyd, z wyboru i z serca wspaniały Polak, doskonały wykładowca, oszczędny w słowach – zawsze najwłaściwszych – świetny znawca stosunków dyplomatycznych i spraw polskich końca XVIII i początków XIX stulecia. Zawsze miał pełną aulę słuchaczy, także i z innych wydziałów. W czasie wojny profesor pracował w konspiracji w Biurze Informacji i Propagandy ZWZ-AK.

Henryk Mościcki, chociaż nie aż tak wielki uczony, ale wykladał ciekawie, potoczyście, nigdy oschle czy nudno. Władysław Smoleński – doskonały znawca

stosunków polskich drugiej połowy XVIII wieku, chociaż słuchałam go krótko (zmarł w 1926 r.), to wywarł duży wpływ na moje zainteresowania historyczne. Później przybyły z Wszechnicy Jagiellońskiej Wacław Tokarz, znawca wojskowości. Oprócz nich prof. Halecki, mający w jednym palcu historię wszystkich księstw i księstewek ruskich. Choć miał na imię Oskar i część nazwiska brzmiająca całkiem obco, zawsze wierny Polsce, także wtedy, gdy po wojnie żył i pracował na Zachodzie.

Poza tym Władysław Tatarkiewicz, Władysław Witwicki – wykładowcy nauk filozoficznych – artyści słowa. Na ich wykłady chodziło się dla przyjemności intelektualnej, nawet jeśli wcale nie trzeba było składać u nich egzaminów. Celność i prostota słowa, szerokość horyzontów, wiedza rozległa, nie ograniczająca się do swego przedmiotu. Autorytet moralny cechował także rektorów Włodzimierza Antoniewicza i Stefana Pieńkowskiego oraz prof. Tadeusza Kotarbińskiego, u którego składaliśmy egzaminy z logiki.

Chodziłam także czasem na wykłady dla prawników, zwłaszcza prof. Petrażyckiego. Chciałam rozszerzyć horyzonty w zakresie ogólnej wiedzy humanistycznej.

Na ogół profesorowie nasi nie wyręczali się asystentami, zawsze w bezpośrednim kontakcie ze słuchaczami, nie spoufalali się, ale traktowali nas poważnie, życzliwie i uprzejmie. Uczyli nas swoim postępowaniem, jak być człowiekiem.

Toteż w wiele lat po studiach i po wojnie jak ciężki cios uderzyła we mnie wiadomość, że prof. Marcei Handelsman zginął w obozie Dora-Nordhausen, podobno wydany Niemcom jako Żyd.

Życie między wykładami i czytelniami upływało we wzajemnej życzliwości, w dość dużej mierze na chodzeniu do teatru. Bilety otrzymywałyśmy z „Bratniaka” na doskonale, poważne sztuki, grane w Teatrach: Narodowym i Polskim. Nabywałyśmy także tanie bilety do wspaniałych teatrzyków rozrywkowych: „Qui pro Quo” z Fryderykiem Jaroszym i Hanką Ordonówną oraz do „Morskiego Oka” z siostrami Halama i Zułą Pogorzelską. W sumie życie, choć niebogate i pracowite, było urozmaicone. W ostatnich latach studiów, mieszkając na Górnoszląskiej, byłam zaangażowana w instytucjach akademickich, głównie związanych z „Domem Akademickim” i zadziergnęłam dużo długotrwałych przyjaźni.

Ferie świąteczne i wakacyjne spędzałyśmy u rodziców w Ostrołęce, którym po przykrych perypetiach udało się zamieszkać w swoim domu, zajmując część dawniej zajmowanego mieszkania. Na Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, a także i na część urlopu, przyjeżdżał do rodzinnego domu również brat.

Studia moje o kierunku społeczno-gospodarczym odbywane pod opieką profesora Stanisława Arnolda – kierującego nowo zorganizowaną na UW katedrą tego typu (katedry społeczno-gospodarcze miały wówczas Uniwersytety: Lwowski i Poznański oraz Wolna Wszechnica Polska w Warszawie) i praca magisterska „Z dziejów Nowej Warszawy XVIII wieku”, oparta niemal wyłącznie na materiałach archiwalnych, dały mi możliwość zaznajomienia się z problematyką miejską i ze źródłami archiwalnymi dotyczącymi miast, ich wyszukiwaniem, odczytywaniem i wykorzystywaniem – wszystko to zmuszało do poważnej samodzielnej pracy. Wobec zaginięcia podczas II wojny światowej znacznej części źródeł, na których praca moja została oparta, a dzięki przechowaniu jej w archiwum, opublikowano ją w roku 1975 – z pewnymi skrótami – w tomie XXII „Studiów Warszawskich” pt. „Gospodarka finansowa Nowej Warszawy za Stanisława Augusta”.

Gdy kończyłam studia, patron mój, profesor Arnold, zaproponował mi przystąpienie do pracy naukowej w organizowanym w następnym roku wydawnictwie

naukowym o charakterze geograficzno-historycznym. Propozycję przyjąłem z radością – pozostać w Warszawie i pracować naukowo było czymś, co przerastało moje marzenia.

Wobec tego nie starałem się o pracę nauczycielską, jaką zgodnie z moimi kwalifikacjami należałoby podjąć, i jaką przyjęła moja siostra. Zostałam u rodziców. Wówczas zaczęłam się interesować przeszłością Ostrołęki. Miasto to nie tylko nie miało żadnego opracowania swoich dziejów, ale nawet kilkustronicowego historycznego opisu. Od rodziców i innych starszych znajomych dowiedziałam się o tym, co wiązało się z rozwojem i przeżyciami Ostrołęki w początkach XX wieku – wcześniejszych nie znali.

Kiedy zastanawiałam się, co począć, aby nie zmarnować czasu oczekiwania na pracę w Warszawie, spotkała mnie ponętna propozycja. Ówczesny burmistrz Ostrołęki, Kazimierz Piotrowski, człowiek bystry i inteligentny, zapragnął poznać przeszłość miasta, którym rządził, i chciał, aby poznali ją i inni mieszkańcy. Było to tym bardziej potrzebne, że zbliżała się setna rocznica bitwy pod Ostrołęką (26 maja 1831 r.), w związku z którą przewidywane były uroczystości o charakterze krajowym. Burmistrz Piotrowski zaproponował mi pracę w magistracie zobowiązującą do zbierania materiałów związanych z dziejami Ostrołęki i opracowania ich w celu opublikowania, oraz do uporządkowania istniejących na miejscu archiwaliów i zapoczątkowania Archiwum Miejskiego. Propozycja odpowiadała mi, miała bowiem zaspokoić moje zainteresowania rodzinnym miastem i była wiążąca tylko na pewien okres, obliczony na około roku.

W listopadzie 1929 r. przystąpiłam do pracy. Na miejscu znalazłam w jednym z pomieszczeń magistratu zwalone materiały, rewindykowane ze Związku Radzieckiego, obejmujące okres od drugiej połowy XIX wieku do wybuchu I wojny światowej (zresztą jak się po przejrzaniu okazało, niezbyt interesujące), a w kancelarii akta bieżące (m.in. protokoły posiedzeń Miejskiej Rady i magistratu od czasu odzyskania niepodległości). Ze zbiorów Archiwum Łomżyńskiego nie skorzystałam nic, z Archiwum Diecezjalnego w Płocku niewiele. Skarbnicą, z której mogłam czerpać dane o przeszłości Ostrołęki, były archiwa warszawskie: Archiwum Skarbowe (całkowicie zniszczone podczas II wojny światowej) oraz Archiwum Akt Dawnych (dziś Archiwum Główne Akt Dawnych), z którego zasobów korzystałam do pracy magisterskiej. Przyjeżdżałam do nich kilka razy na parotygodniowy pobyt. Pracowałam z dużym zapałem i zainteresowaniem, lektura, a nawet tylko przekartkowanie starych foliów, pasjonowały mnie. W czasie pobytów w Warszawie prawie zawsze korzystałam z możliwości zatrzymywania się w „Domu Akademickim”, gdzie miałam dużo znajomych z okresu studiów.

Zrobione w Warszawie zapisy i wyciągi opracowywałam w Ostrołęce, siedząc przy stoliku w kancelarii sekretarza magistratu, a więc w warunkach niesprzyjających skupieniu, toteż niektóre notatki zabierałam do opracowania w domu. W pracy napotykałam na dużą przychylność. Oprócz burmistrza Kazimierza Piotrowskiego, szczerą życzliwość okazywał mi jego zastępca, Józef Leonik, nauczyciel szkoły powszechnej (później kierownik), także sekretarz magistratu Karol Krajewski i rachmistrz Mikołaj Witwicki, a poza tym miejski technik budowlany August Zdzienicki. Miło też wspominać jego pomocnika, wówczas jeszcze bardzo młodego człowieka, Waldemara Kutza, oraz często odwiedzającego urząd ówczesnego kierownika elektrowni Stanisława Milenkiewicza, chyba najpoważniejszego doradcy burmistrza w planowaniu i realizacji porządkowania miasta i jego zadrzewienia.

W pracy społecznej najczęściej spotykałam się z burmistrzem, poza nim z dyrektorem Czesławem Modzelewskim i dr. Tadeuszem Szamotą. Towarzystwo zaprzyjaźniłam się z nauczycielką Apolonią Motoczyńską, doskonałym lekarzem stomatologiem Anną Stoklas (później Milenkiewiczową) i Eugenią Olszewską (później Wiśniewską). Rzadziej spotykałam się z najofiarniejszym ostrołęckim działaczem społecznym dr. Józefem Psarskim oraz z inspektorem szkolnym Dionizym Majewskim, księgarzem Ludwikiem Choynowskim i Janem Radgowskim, którzy działali w innych stowarzyszeniach. Z tego okresu zapamiętałam dużo nazwisk, a także sylwetek: urzędników, nauczycieli, księży, sędziów, przedstawicieli wolnych zawodów, a także kupców i rzemieślników, tak Polaków, jak i Żydów. Wobec braku materiałów urzędowych z okresu międzywojennego, ich wykaz spisany z pamięci oraz na podstawie bardzo licznych wywiadów przeprowadzanych w latach siedemdziesiątych zachowałam w maszynopisie, a nazwiska rzemieślników Polaków znajdują się w drukowanej obecnie publikacji pt. „Obraz rzemiosła ostrołęckiego w okresie Drugiej Rzeczypospolitej”.

W styczniu 1931 r. opuściłam Ostrołękę. Następnie (nie pamiętam dokładnej daty) złożyłam w magistracie ówczesnemu burmistrzowi Julianowi Ostaszewskiemu *Monografię Ostrołęki*, a właściwie skromny zarys dziejów miasta, liczący około 200 stron maszynopisu, oraz plik zebranych ilustracji. Złożyłam też katalog akt nowo założonego Archiwum Miejskiego.

Chciałabym nadmienić, że w czasie II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej zaginęła lub uległa zniszczeniu duża liczba woluminów archiwalnych, z których w 1930 r. czerpałam materiał do pracy, natomiast mój egzemplarz opracowania ocalał i stał się on podstawą późniejszych moich publikacji.

Podczas pobytu w Ostrołęce przez cały czas pracowałam społecznie w organizacjach o charakterze oświatowym i charytatywnym.

Muszę przyznać, że przez te kilkanaście miesięcy spędzonych w tym małym mieście, nazywanym przez niektórych miastem emerytów, nie nudziłam się. Żyłam się z jego mieszkańcami i ich potrzebami, a przy tym miałam świadomość, że jestem przydatna.

Mimo że czas, w jakim tu pracowałam, przypadł na okres głębokiego ogólnokrajowego kryzysu gospodarczego i nasilonej walki politycznej, to władze miasta wraz z miejscowym społeczeństwem wkładały dużo wysiłku, aby podnieść stan gospodarczy i kulturalny Ostrołęki, a także aby ją upiększyć, a życie w niej ożywić – to bardzo cieszyło i dodawało sił i zapału do pracy.

W domu rodziców dobrze mi było, chociaż mieszkanie jak na trzy osoby było ciasne, odczuwałam, że rodzicom nie zawadzam, a nawet jest im ze mną przyjemnie.

W karnawale 1930 r. mieszkańcy Ostrołęki bawili się chyba tylko na dwóch balach, poza tym w roku tym było parę imprez artystycznych. Największą atrakcją w lecie stanowiły spacery wzdłuż lewego brzegu Narwi, a także, zwłaszcza dla młodzieży, korzystanie z kąpieli w czystej, niemal pachnącej wodzie rzeki i korzystanie zeń do przejażdżki na łódkach, wówczas przeważnie tzw. krypach i łodziach półrasowych – z tych atrakcji sama korzystałam.

Polacy i Żydzi, tak w społeczności inteligenckiej, jak i kupieckiej, rzemieślniczej czy robotniczej, nie utrzymywali wzajemnych kontaktów towarzyskich. W gronie inteligencji polskiej bywał jedynie dr Henryk Karbowski, dobry lekarz, ofiarny człowiek, z którym spotykałam się w pracy społecznej.

W soboty miasto robiło wrażenie na wpół wymarłego, gdyż większość sklepów oraz połowa warsztatów rzemieślniczych była zamknięta. W zimie Żydzi w piątkowe wieczory i soboty spędzali czas w domu przy świecach. Pamiętam jednak, jak w wiosenne i w letnie sobotnie popołudnia starym zwyczajem, odświętnie ubrani w czarnych chałatach i jarmułkach na głowach, na czele z rabinem i podrabinkami szli do parku miejskiego, aby odetchnąć świeżym powietrzem (nad brzegiem Narwi bardzo rzadko się ich spotykało i w małych grupkach lub tylko spacerujących pojedynczo).

Zgodnie z poprzednią propozycją, profesor Stanisław Arnold 15 stycznia 1931 r. zaangażował mnie jako pracownika naukowego do organizowanej wówczas przez niego redakcji *Słownika geograficznego Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych*. Pracowałam tu, pozostając na etacie Funduszu Kultury Narodowej, do drugiej wojny światowej.

W roku akademickim 1931/1932 ukończyłam Studium Pedagogiczne przy Uniwersytecie Warszawskim. W następnych latach byłam członkiem seminarium doktoranckiego prowadzonego przez prof. Arnolda i opracowywałam temat: „Prezydenci miasta Warszawy w końcu XVIII wieku” (praca niewykończona zaginęła podczas Powstania Warszawskiego).

Moim debiutem publicystycznym była przedmowa (wstęp) w broszurze wydanej w 1933 r. „Jednodniówka Domu Akademickiego”. W latach 1933–1934, nie tylko dla zaspokojenia ambicji, ale także z potrzeb materialnych (w *Słowniku*, przy pięciogodzinnym dniu pracy, pobory miesięczne wynosiły 225 zł) opracowywałam dla czasopism spółdzielczych i innych artykuły popularne, o treści historycznej i geograficznej.

W latach 1934–1939 współpracowałam z kilkoma wydawnictwami, publikując w nich artykuły, szkice, a także recenzje z książek dotyczących dziejów miast i rozwoju przemysłu. Poza tym współpracowałam z dr. Mieczysławem Orłowiczem przy korekcie treści historycznych w różnych przewodnikach po Polsce. W latach 1938–1939 pracowałam dodatkowo w Wojskowym Biurze Historycznym, ustalając prawidłową nomenklaturę miejscowości w niektórych rozkazach wojennych, a w roku 1939 brałam udział w opracowaniu referatu dla Biura Planowania przy Ministerstwie Skarbu, w ramach prac przygotowawczych, dotyczących rozbudowy przemysłu w Polsce w zależności od rozmieszczenia surowców.

Praca w *Słowniku* odpowiadała moim zainteresowaniom. Opracowywanie artykułów typu informacyjno-monograficznego Pomorza oraz Pomorza zagarniętego przez Niemców, tzw. Prus Wschodnich, poszukiwanie do nich materiałów w publikacjach źródłowych oraz literaturze naukowej i popularnonaukowej, a także przeprowadzanie przez pracowników *Słownika* badań terenowych na obszarze tej części Pomorza, która należała do Polski, jak również posługiwanie się odpowiedziami miejscowych ludzi na kwestionariuszu, specjalnie opracowanym przez Komitet Redakcyjny *Słownika*, zdominowały we mnie rozbudowane już poprzednio zainteresowania regionalne.

Zadzierzgnięta w *Słowniku* przyjaźń koleżeńska ciągnęła się przez długie lata jeszcze po II wojnie światowej, gdy już nie pracowaliśmy razem z niektórymi koleżankami i kolegami, aż do ich śmierci (najserdeczniejsza moja przyjaciółka Janina Gruszecka, z domu Biernacka, zmarła w 1967 r.). Z profesorem Arnoldem też utrzymywałam kontakt aż do jego zgonu w 1973 r.

Niemal codzienne dyskusje „śniadaniowe” z profesorem Arnoldem poszerzały wiedzę, rozwijały umysł. Praca w *Słowniku* dawała też możliwość poznania i

zdobycia życzliwości licznej grupy znanych profesorów, niektórych o sławie światowej jak np.: Eugeniusza Romera, Juliana Krzyżanowskiego, Franciszka Bujaka, Kazimierza Nitscha, Jana Rutkowskiego i innych.

Poza tym w związku z przeprowadzanymi badaniami terenowymi poznawało się kraj i masę ludzi.

Od powrotu do Warszawy w 1931 r. aż do lata 1936 r. mieszkalam znowu w „Domu Akademickim” na Górnośląskiej, w ładnym dwuosobowym pokoju. Współlokatorzy zmieniali się – „wydawałam” je za mąż (Helena Ferenstajn-Ankszten, Irena Kaliszówna-Bonik), z ostatnią Stellą Budzińską (Pauli), Amerykanką polskiego pochodzenia, mieszkaliśmy tu razem do lata 1936 r., a potem, prywatnie, jeszcze przez trzy lata, aż do jej wyjęcia za mąż i przeniesienia się do Lublina. Ze wszystkimi współlokatorkami łączyła mnie przyjaźń do końca ich życia, a z ostatnią utrzymuję stały kontakt do dziś. W lipcu 1939 r. zamieszkałam razem z braterstwem w czteropokojowym mieszkaniu przy ul. Fałata (miałam swój pokój z balkonem).

Mieszkając na Górnośląskiej, a także potem, aż do II wojny, aktywnie pracowałam w organizacjach akademickich, byłam członkiem Zarządu Spółdzielni „Domu Akademickiego”, a następnie przez parę lat jego przewodniczącą, przez cały czas aż do września 1939 r. byłam delegatką tejże Spółdzielni do stowarzyszeń akademickich współpracujących z nią, a także członkiem Fundacji „Dom Akademicki”. Praca ze studentkami na Górnośląskiej nie stwarzała poważniejszych kłopotów, gdyż na ogół panowała tu wzajemna życzliwość.

Z najważniejszych spraw rodzinnych tego okresu należy odnotować w styczniu 1931 r. ślub brata Henryka z Haliną Sądzyńską, a w lipcu tego samego roku siostry Marii z Zygmuntem Korzonem, w następnym roku urodzenie ich syna Andrzeja (jestem jego chrzestną matką). Do bardzo smutnych przeżyć zaliczam śmierć ojca (zmarł 29 marca 1935 r. po paromiesięcznej ciężkiej chorobie). W miesiąc potem początek długotrwałej choroby siostrzeńca – Andrzeja, następnie siostry i matki, która już do swojej śmierci nie wróciła do pełnego zdrowia, wreszcie i ja w tym roku zapadłam na chorobę nerek. Tak więc 1935 r. dla naszej rodziny był rokiem chorób. W sierpniu 1939 r. po powrocie z urlopu dowiedziałam się o nagłej śmierci ciotki (siostry ojca – Józefy).

W obliczu wojny w końcu sierpnia 1939 r. siostra przywiozła do Warszawy, do mieszkania brata, niezupełnie zdrową matkę.

Rano 1 września usłyszałam złowrogi komunikat o wybuchu II wojny światowej. W nocy z 4 na 5 września, brat – kapitan – został wezwany do natychmiastowego stawienia się w Dowództwie Wojsk Łączności, gdzie pracował (bratowa też opuściła mieszkanie). Zostałam z matką. Gdy sytuacja polityczna gwałtownie się pogorszyła, a osiedle na Fałata niemal opustoszało, przeniosłyśmy się do krewnych (siostry ojca i siostrzenicy) na ul. Kopernika i tu przetrwałyśmy aż do kapitulacji.

Od 6 września głównymi arteriami nieprzerwanie ciągnęły samochody, a nawet furmanki, kierując się na południowy wschód. Często, a właściwie coraz częściej, rozlegały się przez radio dramatyczne słowa: „Ogłaszam alarm dla miasta stołecznego Warszawy” lub „Uwaga, uwaga! Nadchodzi”. Wówczas mieszkańcy domu chyłkiem przekradali się do schronu przy gmachu Kółek Rolniczych. Dwa razy przedsiębrałam wyprawę do mieszkania na Fałata, aby sprawdzić, co się tam dzieje i przynieść trochę żywności. Za pierwszym razem wróciłam spokojnie. Drugi raz, już nie pamiętam daty, ale było to chyba w drugiej połowie miesiąca, wyszłam

58889 Z

w pogodny cichy ranek, na Mokotowie było spokojnie, natomiast gdy wracałam po paru godzinach, natrafiłam na bardzo silne bombardowanie śródmieścia, im byłam bliżej Kopernika, tym widziałam więcej strasznych śladów. Masy ludzi rannych, zabici, trupy leżących na jezdniach koni – widok przerażający. Biegłam. W „naszym” schronie zastałam płaczącą matkę – myślała, że nie wrócę – płakaliśmy obie. Dotarła tam do nas wiadomość o podpaleniu Zamku. Ale jeszcze wówczas ludzie, których w schronie przybywało coraz więcej, nie tracili nadziei. Niestety, zamilkło radio, przestały funkcjonować wodociągi (nosiliśmy wodę ze studni artezyjskiej przy pałacu Staszica). Niemcy bombardowali bez przerwy, zwłaszcza wiele bomb zapalających i burzących zrzucali na dzielnicę żydowską. Nie setki, ale tysiące ludzi ginęło w ruinach. W śliczny, słoneczny poranek 24 września – cisza, można było z rozpaczą domyślać się, co ona znaczyła – Warszawa skapitulowała. Dłużej walczyć nie było można – brak broni oraz warunki higieniczne i żywotnościowe na to nie pozwalały. Nowy Świat, na który wyszłam, to kikuty domów – ślady bomb burzących. Ogromny ruch – żywotność mężczyzn odstawiających rannych do najbliższych punktów pomocy i grzebiących trupy w ogródkach, na podwórkach, gdzie było to możliwe.

Po paru dniach, idąc kilka godzin, dotarliśmy z matką na Fałata. Dom stał. Mieszkanie było zamknięte, ale wszystkie szyby (z wyjątkiem jednej) wybite. Oprócz grozy okupacji, lęk o przetrwanie.

W kilka dni po rozpoczęciu okupacji rozpoczęłam wędrowki na Nowy Świat do częściowo zburzonego lokalu redakcji *Słownika*, tu wydobywałam spod gruzów książki i materiały rękopiśmienne, w szczególności te, które wymagały ukrycia przed okupantem (te ostatnie, ułokowane w piwnicy mieszkania, w którym mieszkali gestapowcy, w czasie Powstania Warszawskiego uległy zniszczeniu). Robiłam to z dozorcą, gdyż profesor Arnold wyjechał, a inni pracownicy *Słownika* rozpięchli się.

Nastąpiły chłodne dni – okna w mieszkaniu zostały zabite dyktą – było ciemno, wkrótce było też i bardzo zimno, gdyż wyłączono centralne ogrzewanie – węgla nie miałyśmy, tak że nawet kuchni nie można było ogrzać. Około Bożego Narodzenia przybyła z tułaczki siostra z mężem i synkiem. Przebywali krótko, wynieśli się i tułali w różnych miejscach. Od brata i bratowej nie było żadnej wiadomości, czym matka się zamartwiała, właściwie była wciąż chora, ale przez pewien czas starała się jeszcze poruszać, nawet ryzykowała wyjście z domu, potem już tylko przebywała na miejscu. Na wiosnę, gdy udało się wstawić szyby, wynajęliśmy część mieszkania, ktoś był w domu i trochę grosza...

Pracowałam dorywczo, głównie trudniąc się handlem obnośnym, przeważnie materiałami „łokciowymi”, otrzymywanymi od koleżanki, ale także rozmaitymi innymi rzeczami, nawet kaloszami z jednej nogi (dobierano tylko wielkość). Potem przez jakiś czas byłam ekspedientką w odległej cukierce i wówczas zaspokajałam głód i wycieńczenie ciastkami, których wolno było zjeść tyle, ile tylko się zdołało.

Jako członek ruchu oporu AK ps. „Barbara” – „Baśka” – magazynowałam materiały – głównie instrukcje radiowe i sygnalizacyjne szefostwa wojsk łączności, drukowane masowo na potrzeby przewidywanego powstania.

W lecie 1941 r. wróciła bratowa, której udało się przyjechać z Wilna z grupą powracających artystów warszawskich. Ona to opowiedziała nam o przeżyciach brata i swoich we wrześniu 1939 r. Od niej też dowiedzieliśmy się, że brat żyje i walczy w wojsku polskim zorganizowanym na Zachodzie. Uspokoilo to trochę

wciąż zatroskaną matkę, tym bardziej że od tej pory od czasu do czasu nadchodziły od niego wieści, a nawet przysłała paczka. Od powrotu bratowej mieszkaliśmy razem we trzy. Część mieszkania bratowa wynajęła, zaraz też zaczęła pracować – jako żyłyśmy.

Od początku 1943 r. całe społeczeństwo przeżywało okrutną, bestialską likwidację Żydów, a od 19 kwietnia do 16 maja bojowy ich zryw – Powstanie w Getcie Warszawskim.

W nocy z 17 na 18 stycznia 1944 r. po długiej i ciężkiej chorobie zmarła matka i została czasowo pochowana na cmentarzu Bródnowskim (w kwietniu 1966 r. szczątki ekshumowano – złożyłyśmy je w grobie rodzinnym na cmentarzu w Ostrołęce).

Okres od stycznia do sierpnia 1944 r. to czas zwiększenia terroru hitlerowskiego, ciągłych łapanek i egzekucji ulicznych, nasilonych zwłaszcza po dniu 2 lutego – po zabiciu Kutschery przez harcerzy Szarych Szeregów. W Komendzie AK trwały przygotowania do zbrojnego powstania. Ogół społeczeństwa też się go spodziewał.

1 sierpnia o godz. 17.00 wybuchło Powstanie Warszawskie. Po opuszczeniu wraz z bratową własnego mieszkania (chyba 8 sierpnia) ze sporymi torbami najcenniejszych rzeczy, kilka razy przedostawałyśmy się ukradkiem do różnych miejsc, żywiąc się tym, czym ludzie poczęstowali lub co można było zebrać na pobliskim polu, gdy uciszyła się kanonada. Na każdym postoju zostawiałyśmy coś ze swego dobytku. Wiedzioną jakimś instynktem i przywiązaniem wciąż trzymałam w niewielkiej torbie gospodarczej pamiątki rodzinne – głównie fotografie i maszynopis historii Ostrołęki.

Przez kilka tygodni przyświecała nadzieja pomocy i zwycięstwa, tymczasem przeżywało się pełne napięcie tragiczne dni. Bardzo silne i uporczywe bombardowania z obracaniem w gruzy kamienic i pod wpływem podmuchu wyrzucaniem ciał ludzkich na jezdnię, a także „odwiedziny” własowców.

28 września, w dniu kapitulacji Mokotowa, wyprowadzono wszystkich mieszkańców tej dzielnicy za roгатki (zostawiając na miejscu chorych), a następnie do obozu w Pruszkowie. Stąd po paru niezmiernie ciężkich dniach, szczęśliwym zbiegiem okoliczności obydwóm nam udało się dotrzeć do Dąbrowy Zduńskiej, wielokrotnie odwiedzanej przeze mnie w okresie okupacji.

Siostra moja wraz z małym synkiem Andrzejkiem Korzonem przez cały czas okupacji mieszkała w Warszawie, była zaangażowana w tajne nauczanie w Dąbrowie Zduńskiej i zarabiała na utrzymanie w różny sposób, m.in. dowoziła mąkę z Góry Kalwarii, pracowała w Ośrodku Zdrowia i Opieki Społecznej. Od 1941 r. pełniła służbę w ZWZ-AK w Łączności Operacyjnej (Oddział V Komendy Głównej AK) i prowadziła przy ul. Muranowskiej 2 lokal kontaktowy pułkownika Uszyckiego „Orta” i majora Feliksa Dzikielewskiego – szefa wyszkolenia wojsk łączności. Po wojnie została odznaczona Krzyżem Armii Krajowej i Medalem Wojska. Z powstania wyszła w jeszcze cięższych warunkach niż ja, bo ze Starego Miasta i z dzieckiem.

Brat walczył w Wojsku Polskim na Zachodzie w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Został odznaczony licznymi medalami i krzyżami, wśród nich Krzyżem Orderu Virtuti Militari za wkład bojowy podczas bitwy pod Monte Casino. Po bitwie gen. Władysław Anders dziękował mu za bardzo sprawną pracę w łączności, którą brat mój kierował, a w Ankonie Orderem Virtuti Militari dekorował go Naczelny Wódz gen. Kazimierz Sosnkowski. Został też awansowany na podpułkownika.

W okresie od 1 września 1941 r. do połowy 1942 r. pracowałam jako nauczycielka (dojeżdżając na zmianę z siostrą co dwa tygodnie) na tajnych kompletach licealnych żeńskich, prowadzonych przez Leonildę i Kazimierza Wyszomirskich w budynku Szkoły Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej, której kierowniczką od 1936 r. była inż. ogrodnik Leonilda Wyszomirska. Egzamin maturalny, jakim zakończono komplet, odbył się pod przewodnictwem byłego kuratora Okręgu Wileńskiego Stefana Pogorzelskiego. Dziewczęta z „komórki”, bo tak nazywano pomieszczenie kompletu, uczyły się z wielkim zapałem i do matury przygotowywały się nader starannie, dewizą ich było „poznać jak najwięcej, przyswoić jak najlepiej”, toteż w świetle oceny delegata, matura wypadła wspaniale. Wykładowcą języka polskiego był Jerzy Zawiejski – porywał i zachwycał uczennice tak swoją wiedzą, jak i umiejętnością jej przekazywania. Wszyscy nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących mieli wyższe wykształcenie, wśród nich byli ludzie pochodzenia żydowskiego przygarnięci przez szkołę i tak znaleźli schronienie rodzeństwo Telkarscy i profesor Laura Kaufmanowa przebywająca pod nazwiskiem Kamieńska.

Egzamin maturalny „komórki” był dla mnie chrztem pedagogicznym – głęboko go przeżyłam ze względu na pierwszy mój publiczny występ jako nauczycielki i egzaminatorki – wydaje mi się, że byłam bardziej speszona niż zdające.

Po zdaniu egzaminów większość abiturientek studiowała na wyższych uczelniach, a jednocześnie pracowała w ruchu oporu. Jedną z nich, Krystyna Idzikowska, studentka polonistyki UW, złapana przez gestapo z walizką tajnych materiałów, była torturowana na Szucha. Została zamęczona, a jednak nikogo nie wydała. Od wielu lat jest patronką Liceum Ogólnokształcącego w Zdunach.

Nauczyciele omówionego kompletu nie otrzymali żadnego wynagrodzenia pieniężnego, ci co przebywali dłużej, mieli zapewnione wyżywienie, dojeżdżający mieli czasami jednego dnia 7–8, a nawet 9 godzin zajęć, a odchodząc lub dojeżdżając dostawali wałówkę na drogę, zwykle kawałek masła, sera, torbę grochu czy fasoli, co też wówczas nie było do pogardzenia.

Od jesieni 1942 r. aż do lata 1944 r. co pewien czas, niemal systematycznie, dojeżdżałam do tejże Szkoły Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej (12 km od Łowicza w kierunku Kutna), przeprowadzałam pogadanki historyczne oraz pomagałam w prowadzeniu tzw. konkursów dobrego czytania – w analizie książek o treści historycznej i społecznej oraz w przygotowywaniu do egzaminów – małej matury na tajnych kompletach w Warszawie. Na zlecenie kierownictwa szkoły kupowałam w Warszawie książki naszych najwybitniejszych pisarzy i poetów oraz reprodukcje sławnych polskich malarzy, po przywiezieniu personel nauczycielski rozprawdzał je wśród rodziców uczennic i miejscowego społeczeństwa. Ze względu na ścisłe powiązania z dąbrowiecką szkołą uzyskałam ausweis jako jej stały pracownik, co ułatwiało mi poruszanie się.

Dzięki kierownictwu, personelowi nauczycielskiemu i pracownikom gospodarstwa w szkole panowała atmosfera głębokiego patriotyzmu, na co składały się tryb życia codziennego, częste pogadanki i referaty.

Zasluga to przede wszystkim wspaniałych ludzi Kazimierza i Leonildy Wyszomirskich – jej jako doskonałej kierowniczki szkoły, zastępczej matki wszystkich zgromadzonych dziewcząt przybyłych z różnych stron, w znacznej części wysiedlonych. Inteligentna, zrównoważona, dobra i wyrozumiała, nieznająca prywaty – prawdziwy człowiek. On oficjalnie kierownik gospodarstwa szkolnego, wspaniały organizator życia miejscowego, obrońca przed interwencją okupantów, bardzo lubiany przez dziewczęta. Chwała im!

W swoim długim życiu poznałam wielu inteligentnych i dobrych ludzi, ale nikogo drugiego, kto jak Leonilda Wyszomirska łączyłby zalety bystrego umysłu, wspaniałego charakteru, bezinteresowności i dobroci, nie udało mi się spotkać. Często zastanawiam się nad dobrym losem, który obdarzył mnie taką przyjaciółką.

Najwięcej na co dzień przebywała z dziewczętami, ucząc je i wychowując, nauczycielka przedmiotów ogólnych, tzw. ogólniaczka, Kazimiera Michalska. Ona uczyła pieśni patriotycznych, przygotowywała imprezy artystyczne. Paczki dla żołnierzy w obozach z produktów zaoszczędzonych z i tak bardzo skromnych obiadów, robiła z dziewczętami nauczycielka gotowania Maria Jonczykowska, dokładała też swoją pracę nauczycielka robót Janina Ceglarzowa.

Pracownicy gospodarstwa, Michalski i Warda, byli pomocni w każdej potrzebie. Ogólne współdziałanie wszystkich we wszystkim, co polskie. Na wszystkich można było liczyć, wszystkim zaufać. Nad istnieniem i bezpieczeństwem całości czuwał człowiek czynu i odwagi Kazimierz Wyszomirski.

Gdy po Powstaniu Warszawskim dotarłam wraz z bratową do Dąbrowy, zastałam tam przybyłą wcześniej siostrę z synkiem Andrzejkiem. Znalazłam przyjacielski dom. Od razu przystąpiłam do pracy na tajnych kompletach gimnazjalnych zorganizowanych dla licznie zgromadzonej młodzieży warszawskiej, przybyłej tu wraz z rodzicami (dodatkowe moje zajęcie to dbanie o kurnik). Naukę zakończył 17 stycznia 1945 r., tj. w przeddzień opuszczenia tego terenu przez Niemców.

Po Powstaniu Warszawskim dotarło do szkoły ok. 80 osób, a wśród nich Maria Dąbrowska, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, Jerzy Kowalski wraz z żoną Anną – literatką, uroczy pan Stanisław Stempowski, ostatni towarzysz życia Marii Dąbrowskiej, doktor Morawiecka z siostrą i Stefan Pogorzelski – były kurator, który objął kierownictwo tajnych kompletów. Wszyscy obecni dawali jakiś wkład pracy w życie szkoły, taki był tu zwyczaj.

W ciągu kilku tygodni po wyzwoleniu prawie wszyscy przybysze opuścili Dąbrowę. Zostało tylko kilka nauczycielek, które niemal siłą zatrzymano (głównie Wyszomirski) ze względu na chęć kontynuowania rozpoczętego dzieła – otwarcie średniej szkoły ogólnokształcącej, o czym podobno marzyli tutejsi chłopcy już przed wojną. Zostałam.

Władze poparły miejscową inicjatywę i już w lutym 1945 r. przeprowadziliśmy zapisy do Państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Zdunach, chwilowo mieszczącego się w życzliwie użyczonym lokalu Szkoły Rolniczej. Pracowałam w LO w Zdunach przez osiemnaście i pół roku, nauczając historii, nauki o Polsce współczesnej, a przez kilka lat także geografii i wychowując młodzież. Oprócz obowiązków nauczycielskich pełniłam również funkcje w zakresie działalności zakładu, np. społecznego zastępcy dyrektora, przewodniczącej zakładowej organizacji związkowej, nawet kształcenia ideologicznego.

Pracę z młodzieżą polubiłam i czułam się w niej coraz lepiej, mimo że przystępując do niej zastanawiałam się, czy podołam zadaniom zarówno pedagogicznemu, jak i wychowawczemu. Praca nauczycielki historii nie była łatwa, a nawet początkowo bardzo trudna – kompletny brak podręczników – a następnie zalecenie korzystania z podręcznika historii Polski opracowanego przez Mrozowską i Schoenbrennera, który obowiązywał od IV klasy szkoły podstawowej do ostatniej klasy szkoły średniej. Następnie zalecano korzystanie z podręczników rosyjskich, tłumaczonych na język polski, Jefimowa czy Gałkina, niemal nic nie mówiących o Polsce. Te drobne wzmianki, jakie były podane, nie miały nic albo miały niewiele

wspólnego z prawdą. Stąd dla nauczyciela konieczność przygotowania bardzo szczegółowego konspektu każdej lekcji, a dla uczniów mozolnego prowadzenia notatek. Pracowałam więc bardzo dużo, korzystając z różnych, różnie zdobytych starych podręczników (zresztą nawet po 20-letniej pracy każdą lekcję przygotowywałam). Cieszyłam się każdą odbytą lekcją, właściwą odpowiedzią, żywą dyskusją.

Od pierwszych lat nauczania, realizując przepisany program starałam się wprowadzać zagadnienia regionalne, dotyczące najbliższej okolicy, dziejów Łowicza i Księstwa Łowickiego – wzbudzało to w młodzieży zainteresowanie „domem rodzinnym” i jak mi się wydaje, wpływało na zainteresowanie dziejami kraju. Problematykę regionalną pogłębialiśmy w kierowanym przeze mnie przez wiele lat Kółku Regionalnym, w którym uczestniczyła dość duża grupa młodzieży z różnych klas, opracowując m.in. coś w rodzaju zarysu dziejów swojej wsi (wg schematu przygotowanego przeze mnie). Kilkanaście czy kilka takich opracowań przesłaliśmy do Kuratorium Łódzkiego – wszystkie zdobyły nagrody. Poza tym przedstawiciele kółka, którzy brali udział w Ogólnopolskim Zjeździe Młodzieży Krajoznawczej, drukowali swoje wspomnienia w „Orlim Locie”, piśmie krajoznawczym dla młodzieży wychodzącym w Krakowie. W końcowym etapie kółko dorobiło się sporego zbioru wypowiedzi.

Zwykłe w czerwcu lub we wrześniu organizowano w liceum dłuższe wycieczki krajoznawcze: nad morze, w góry, na Śląsk, do Poznania, a w czasie zajęć szkolnych krótsze: do Warszawy czy Łodzi. Większość z nich prowadziłam, były bardzo przyjemne i pożyteczne, chociaż, zwłaszcza w początkowych latach, trudne – z własnymi wiadrami na kawę pobieraną na stacjach i z własną walówką. Pomagały poznać kraj, rozszerzały horyzont.

Przepracowane przeszło 18 lat w zduńskim LO, którym kierował przez cały ten czas dyrektor Kazimierz Jędrzejczyk, dobry organizator, dobrze znający teren, człowiek ambitny (mający wykształcenie pedagogiczne, w czasie dyrektorstwa zdobył magisterium, a następnie doktorat), nie zatarły się w mojej pamięci. Praca nauczycielska i wychowawcza dawała pozytywne wyniki. Miłe wspomnienia łączą mnie ze szkołą, z dawnymi kolegami i młodzieżą. Zadzierzgnięta tu więc przyjaźni z niektórymi uczennicami i uczniami, nawet rozproszonymi po świecie, przetrwała do dziś przeszło 40 lat (korespondujemy, odwiedzamy się).

Zżyłam się też z tamtejszym wiejskim środowiskiem (od 1953 r. aż do opuszczenia Zdun byłam radną gminy – przewodniczącą Komisji Zdrowia i Opieki Społecznej). Spotkanie z każdym zduniakiem traktujemy nawzajem jako przyjemność. Dlatego też swego czasu odpowiadałam odmownie na propozycje Kuratorium (Łódź – Województwo) objęcia stanowiska dyrektora w innym LO oraz na ponawiane przez prof. Stanisława Arnolda propozycje powrotu do pracy naukowej w Warszawie.

Pracując w zduńskim LO w latach 1948–1953 dojeżdżałam do Warszawy na seminaria doktoranckie prowadzone na UW przez prof. Arnolda, w których brałam czynny udział i pracowałam nad tematem „Stan miast za czasów Królestwa Kongresowego na podstawie ankiet z pierwszej ćwierci XIX wieku”. Potem w związku z reorganizacją studiów doktoranckich dojazdy przerwałam.

Po ogłoszeniu w 1957 r. przez Polskie Towarzystwo Historyczne konkursu na prace regionalne odnalazłam złożony w szufladzie swój maszynopis monografii Ostrołęki, właściwie zarysy jej dziejów, wyniesiony z Powstania Warszawskiego. Po stwierdzeniu ubytków w materiałach archiwalnych i naradzie ze znanymi mi

profesorami UW przystąpiłam do przepracowania, rozszerzenia i uzupełnienia posiadanego opisu z myślą, że może chociaż pewne fragmenty będą drukowane w jakimś zbiorowym wydawnictwie i w ten sposób ocalę od zapomnienia dzieje małego, rodzinnego miasta, które nie miało żadnego większego opisu. W przeddzień ostatecznego terminu – 14 maja 1958 r. – złożyłam pod pseudonimem „Narew” trzy egzemplarze maszynopisu swego „dzieła”.

Jakąż spotkała mnie niespodzianka i wielka radość, gdy podczas obrad VIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Krakowie we wrześniu 1958 r. prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, przewodniczący jury konkursu, w obecności 1400 uczestników (w tym mojej i siostry – delegatek kuratorium) ogłosił wyniki konkursu. Okazało się, że *Ostrołęka* osiągnęła najwyższą lokatę wśród prac naukowych – wyróżnienie i nagrodę. Wielkie przeżycie – nieopisana radość. Nagroda za włożony wielki trud.

Wkrótce nastąpiły propozycje wydawnicze, na których realizację trzeba było jeszcze długo czekać (I wyd. Ossolineum 1967). W czasie przygotowywania monografii *Ostrołęki* do druku, do czego przystąpiłam zaraz po ogłoszeniu wyników konkursu, moim mistrzem i nader życzliwym opiekunem naukowym był nieodżałowanej pamięci profesor Stanisław Herbst, człowiek wielkiej wiedzy i gorącego serca.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Łowicza od roku szkolnego 1963/64 do 1972/73 pracowałam na półetacie w liceach łowickich (Liceum Pedagogicznym, Liceum Ogólnokształcącym, w którym w roku szkolnym 1968 prowadziłam zajęcia fakultatywne z historii dla młodzieży klas IV, i ostatnio w Liceum Medycznym). Od jesieni 1973 r. w żadnej szkole nie pracuję, ale do dziś pracuję naukowo, czego dowodem są wydawane niemal co roku moje publikacje.

W latach 1958–1981 odbyłam kilka wycieczek za granicę o charakterze turystycznym do: Czechosłowacji, południowej części NRD, Węgier oraz Grecji i Turcji europejskiej (tę ostatnią samochodem prywatnym, zwiedzając kraje leżące na trasie podróży), poza tym czterokrotnie wyjeżdżałam do Londynu w celu odwiedzenia rodziny.

Mieszkając w Łowiczu, przez cały czas pracuję społecznie w różnych stowarzyszeniach o charakterze kulturalnym, m.in. w Towarzystwie Przyjaciół Łowicza i Ziemi Łowickiej, Kole Przyjaciół Miejskiej Biblioteki Publicznej, w Kole Terenowym im. Marii Konopnickiej. W latach 1978–1983 byłam przewodniczącą zarządu. Od powstania Stacji Naukowej Mazowieckiego Ośrodka Badań Naukowych jestem członkiem zarządu. Poza terenem Łowicza jestem członkiem Polskiego Towarzystwa Historycznego Oddziału w Warszawie pod nazwą Towarzystwo Miłośników Historii. Współpracuję z Mazowieckim Ośrodkiem Badań Naukowych im. Stanisława Herba. Jestem także członkiem Towarzystwa Przyjaciół *Ostrołęki* (od 19 stycznia 1986 roku członkiem honorowym), *Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego* oraz Koła Przyjaciół Muzeum Okręgowego, utrzymuję ścisły kontakt z *Ostrołęką Stacją Naukową MOBN*.

Myślą i pracą jestem wciąż związana z *Ostrołęką*, chociaż nie mam tam nikogo z rodziny, a nawet dawnych znajomych. Dom rodziców został zniszczony w czasie działań wojennych w 1944 r. To, co pozostało, rozebrali różni ludzie, a plac pod domem, zabudowaniami gospodarczymi i sadem (wielkość ok. 4000 m kw.) zabrały władze miejskie, tłumacząc, że jest konieczny pod budownictwo robotnicze (jako odszkodowanie nam, spadkobiercom, wypłacono 30 tysięcy zł). Jak się okazało, w bloku zbudowanym na części byłego naszego placu znalazła mieszkanie duża liczba rodzin, ale wcale nie robotniczych.

Tak więc w wiele lat po wojnie władze ostrołęckie wydziedziczyły nas w sposób nader przykry z posiadłości po rodzicach.

Mimo to obie przechowywałyśmy życzliwość dla miasta, w którym nasi rodzice i my spędziliśmy wiele lat życia – chcieliśmy je widzieć większym, piękniejszym, lepszym i kulturalniejszym. Dowodem tego jest podjęcie przeze mnie niemałego trudu, wymagającego wielu wyrzeczeń i poświęcenia ogromu czasu, dopracowania niegdyś rozpoczętego opisu dziejów Ostrołęki, którego maszynopis wyniosłam z Powstania Warszawskiego. Władze miasta nawet wówczas, kiedy praca złożona na konkurs ogłoszony przez Polskie Towarzystwo Historyczne uzyskała wyróżnienie, a ja zostałam laureatką, mało interesowały się jej losem.

Dopiero w latach 60. ówczesny starosta Jakubowicz zrozumiał przydatność monografii miasta i wyraził konieczność jej opublikowania. Pewnie jednak jeszcze i wówczas wydanie jej czekałoby na lepsze czasy, gdyby przy poparciu prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego profesora Stanisława Herbsta nie trafiła do Komitetu Naukowego Obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, dzięki czemu maszynopis *Ostrołęki* został przekazany Ossolineum wraz z pracami Polskiej Akademii Nauk.

W latach siedemdziesiątych, w okresie przygotowań do obchodów 600-lecia Ostrołęki, stosunek władz do mnie i mojej pracy się zmienił, a obecnie, jak sądzę, jest on całkowicie pozytywny.

Brat mój, Henryk, obecnie pułkownik Wojska Polskiego w stanie spoczynku, oficer Brygady Karpackiej, Tobrucczyk, w 1946 r. przeniósł się razem z żoną z Włoch do Wielkiej Brytanii. Po kilkunastu latach niezmiernie ciężkiej pracy na farmie i w służeniu emerytury rolnika osiedlili się w Londynie. Mają własny dom i od kilkunastu lat wspierają naszą rodzinę zamieszkałą w kraju. Ich to właśnie odwiedziłam już pięciokrotnie*.

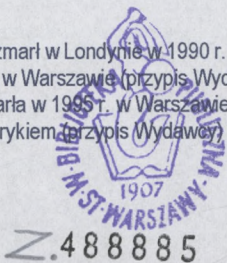
Siostra moja, Maria Korkozowicz (I voto Korżon)**, nauczycielka-emerytka, i jej dzieci – syn Andrzej Korżon, doktor habilitowany historii, docent w Instytucie Historii PAN i córka Dorota Korkozowicz, wykładowca języka hiszpańskiego na UW, wraz z rodzinami mieszkają w Warszawie. Z nimi wszystkimi utrzymuję ścisły kontakt. Rodziny mojej nie opuszczają choroby, a i mnie poważnie ciąży starość.

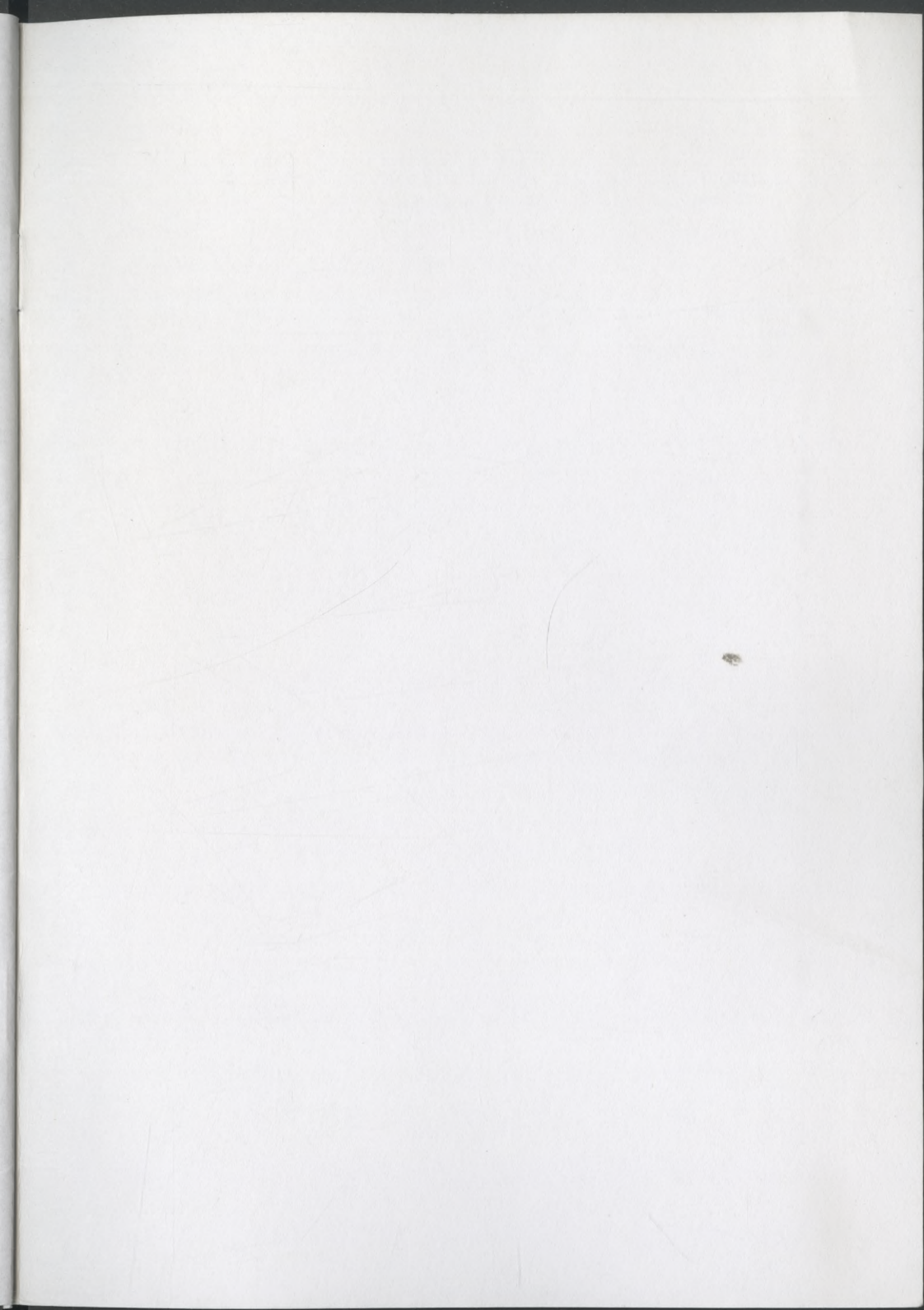
Na ostrołęckim cmentarzu pozostał nam grób rodzinny, w którym znajdziemy swoje miejsce.

Łowicz, 1986 r.

* – Henryk Niedziałkowski zmarł w Londynie w 1990 r. Pochowany z honorami wojskowymi na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie (przypis Wydawcy)

** – Maria Korkozowicz zmarła w 1995 r. w Warszawie, pochowana na Cmentarzu Powązkowskim w jednej mogile z bratem Henrykiem (przypis Wydawcy)







ul. Koszykowa 26/28



BPW00099296

